

MILION PRZYGÓD



Z Małgorzatą Łukasiewicz, tłumaczką literatury niemieckojęzycznej,
rozmawiają Łukasz Musiał i Arkadiusz Żychliński¹

Ł.M. i A.Ż. Jak się zaczęła Pani przygoda z tłumaczeniem?

M.Ł. Istniało kiedyś na Wydziale Neofilologii UW coś, co się nazywało Wyższe Studium Języków Obcych, programowo utworzone w opozycji do tradycyjnych filologii. Chciano tam położyć nacisk przede wszystkim na praktyczną znajomość języka obcego. Wybierało się dwa, pierwszy i drugi. W moim przypadku pierwszym był francuski, drugim niemiecki. Studia trwały cztery lata, po dwóch wybierało się specjalizację przekładową lub dydaktyczną, ja wybrałam tę pierwszą. Przez dwa lata uczyłam się na ćwiczenia praktyczne prowadzone przez Jerzego Lisowskiego – świetne, uskrzydlające, zabawne. Tłumaczyliśmy z języka francuskiego na polski i odwrotnie, na przykład opowiadania Mrożka. Jednym słowem, translatorium z prawdziwego zdarzenia. Po ukończeniu studiów uzyskiwaliśmy dyplom (zaproponowano, by był to dyplom „inżyniera języków obcych”, od czego na szczęście odstąpiono), po czym można było robić magisterium na jednym z kierunków filologicznych. Ja jednak zdecydowałam, że zrobię je z filozofii.

Ł.M. i A.Ż. Wspomniała Pani o Jerzym Lisowskim. Czy miała Pani swojego mistrza w obszarze tłumaczeń z języka niemieckiego?

M.Ł. Wtedy nie, skupiałam się na francuskim. Wprawdzie mieliśmy dwa semestry literatury niemieckiej, ale to była kompletna katastrofa. Dyplom

¹ Mieliśmy dwukrotnie okazję do dłuższej rozmowy z Małgorzatą Łukasiewicz, po raz pierwszy w roku 2002 w Poznaniu (zapis ówczesnego wywiadu ukazał się w piśmie „Orbis Linguarum” 27/2004, s. 193–197), po raz drugi niemal dokładnie dziesięć lat później w Domu Tłumacza w Looren. Na potrzeby niniejszej publikacji zdecydowaliśmy się połączyć kilka ciekawych wątków z obydwu rozmów.

zrobiłam w roku 1970, potem Studium istniało bodaj jeszcze przez rok, po czym zostało przekształcone w Instytut Lingwistyki Stosowanej, istniejący do tej pory.

Ł.M. i A.Ż. Jak więc się stało, że osoba, która znakomicie orientuje się w literaturze francuskiej i która początkowo dużo lepiej zna język francuski od niemieckiego, staje się z biegiem czasu czołową tłumaczką właśnie z tego ostatniego?

M.Ł. Nie pretenduję do miejsc czołowych. Co do meritum – stało się tak przez filozofię, tu Niemcy nie mieli już żadnej konkurencji. To było po marcu 68, Wydział Filozoficzny był zdemolowany, pozostały studia zaoczne, studia II stopnia, podyplomowe, ale coś jednak można było dla siebie znaleźć. W ramach przygotowań do jednego z seminariów przeczytałam szkic Bronisława Baczki o Rousseau i Heglu, arcydzieło historii idei. Spodobало mi się tak bardzo, że pomyślałam: ja też tak chcę! W konsekwencji napisałam pracę magisterską o Rousseau i Fichtem, u Marka Siemka. Krótko mówiąc, klasyczna filozofia niemiecka wessała mnie całkowicie. A w związku z tym i język niemiecki, i literatura, i historia kultury. Tłumaczeniem zajmowałam się już na pierwszych studiach, dla zarobku tłumaczyłam różne rzeczy, przeważnie użytkowe, marząc oczywiście o ciekawszych projektach. Nieoczekiwanie zaproponowano mi przekład *Socjologii* Georga Simmla. Trochę się bałam, nie znałam dostatecznie terminologii socjologicznej, nie miałam żadnego doświadczenia w tłumaczeniu większych książek. Czekala mnie kolosalna praca. Na szczęście w Państwowym Wydawnictwie Naukowym, gdzie książka Simmla miała się ukazać, znalazłam pomoc w osobie bardzo życzliwej redaktorki, Wandy Lipnik, która zaczęła mnie nieomal od podstaw uczyć zawodu tłumacza, choćby tego, że przekład może być świetną zabawą. A równocześnie była – i jest nadal – prawdziwą purystką językową, nie przepuszczała żadnego błędu, żadnej nieścisłości. Dotykamy tu bardzo istotnego aspektu pracy przekładowej: rzemiosła. Terminujesz w pracowni mistrza i podpatrujesz, jak on to robi. Moim zdaniem, żadne studia nie mogą tego zastąpić, ani językowe, ani w zakresie teorii przekładu.

Ł.M. i A.Ż. Młodym adeptom tłumaczenia Pani opowieści mogą przypominać bajkę o żelaznym wilku. Zawód redaktora wymiera, a nawet jeśli w jakimś wydawnictwie wciąż istnieje taka funkcja, który z redaktorów może sobie pozwolić na równie pieczołowitą obróbkę tekstu?

M.Ł. Dlatego tak bardzo potrzebne są inne metody nauki zawodu tłumacza. Myślę o szkołach kreatywnego przekładu, translatoriach umiejscowionych przy studiach filologicznych, jednym słowem o wszystkim, co ma charakter ćwiczeń praktycznych. Takie ćwiczenia są absolutnie niezastąpione. Sama miałam później okazję prowadzić podobne zajęcia i widziałam, jak dużo one dają początkującym tłumaczom.

Ł.M. i A.Ż. Na początku był zatem Simmel. Co przyszło potem?

M.Ł. Potem przyszły kolejne książki z szeroko pojętej humanistyki. Jeśli chodzi o beletrystykę, zadebiutowałam w roku 1975 w „szwajcarskim” numerze „Literatury na Świecie”. Znalazło się tam pięć kawałków prozą Walsera w moim przekładzie.

Ł.M. i A.Ż. Robert Walser, zajmujący na mapie Pani twórczości miejsce szczególne, to twórca osobliwy i osobny. Jest Pani autorką monografii Walsera, drugą autorką przekładów dwóch powieści, dwóch zbiorów opowiadań i krótkich form, mają powstać nowe przekłady. Zaszczepiła pani Roberta Walsera na polskim gruncie i zdaje się, że ta sadzonka się przyjęła. Co takiego odnalazła Pani w twórczości Roberta Walsera, co skłoniło Panią do zajęcia się tym właśnie autorem? Czym „uwiódł” Panią Walser?

M.Ł. Muszę sprostować: na polskim gruncie zaszczepiła Walsera znakomita Teresa Jętkiewicz. W 1972 roku wyszła w jej przekładzie *Willa pod Gwiazdą Wieczorną*. Wtedy tę książkę przeczytałam i nie mogłam przestać o niej myśleć. Byłam oczarowana i próbowałam dociec, na czym to polega – na czym polega sekret tego pisarstwa. I tak próbuję do tej pory. Myślę, że nawet dziś, kiedy czytamy Walsera w sto lat po jego debiucie, mamy poczucie wielkiego nowatorstwa, odnowy estetycznej i w ogóle odnowy spojrzenia na świat. Jednym z elementów tej odnowy jest pewnie uciekanie od fabuły. Nawet powieści Walsera to właściwie składanka epizodów, ciąg chwil, z których każda jest pierwsza. Myślę, że to nie jest ot taki sobie greps, chwyt literacki. Stoją za tym pewne przeświadczenia. Np. przeświadczenie, że istotą świata – i naszego doświadczania świata – jest nieciągłość, epizodyczność, fragmentaryczność. Poza tym – Walser cudownie pisze. Ma dar bawienia się słowami, bawienia się z samym sobą i, siłą rzeczy, także z czytelnikiem. Buduje jakiś nastrój i zaraz go burzy. Jeśli zaczyna w tonie sentymentalnym, to zaraz przełamie go ironią. W każdym zdaniu przeżywamy jak gdyby milion przygód. I to, przyznaję, bardzo mi się podoba.

Ł.M. i A.Ż. Tłumaczyła Pani Walsera – ale nie tylko. Lista sporządzonych przez Panią przekładów wskazywałaby jednak na to, że z małymi wyjątkami unika Pani tłumaczenia książek, które powstały w odpowiedzi na doraźne potrzeby chwili, rzadko sięga Pani po autorów współczesnych.

M.Ł. A co z Habermasem? Czy to nie autor współczesny *par excellence*, i to nie tylko dlatego, że żyje współcześnie: przede wszystkim dlatego, że wyjątkowo żywo reaguje na rozmaite tak zwane wyzwania współczesności. Jeśli chodzi o współczesną literaturę piękną, to owszem, też tłumaczyłam. Tłumaczyłam Süskinda, Patricka Rotha, W.G. Sebald, Barbarę Honigmann. Inna rzecz, że oni wszyscy należą z grubsza do mojego pokolenia. Nie sięgałam dotąd do autorów zdecydowanie ode mnie młodszych. Czy to przypadek, czy może tłumacz ma lepszy kontakt ze swymi rówieśnikami – nie wiem. Zresztą nie chcę się zarzekać i twierdzić, że tej bariery pokoleniowej nigdy nie przekroczę.

Ł.M. i A.Ż. Napisała Pani swego czasu: „Nie istnieje sposób przekładania, przekłady nam się zdarzają”. Czy ceni Pani sobie szczególnie jakąś teorię przekładu?

M.Ł. Napisałam tak w recenzji z esejów Musila *Człowiek matematyczny*, w przekładzie Jacka Burasa. Musil tam powiada między innymi, że „zdarzają się nowe przeżycia, ale nie istnieje jakiś nowy sposób przeżywania” – to bardzo piękna myśl.

Ł.M. i A.Ż. Ale czy zakłada Pani, że teoria przekładu jest możliwa i użyteczna? Chodzi nam raczej nie o konkretne teorie przekładu, ale o ich wymiar pragmatyczny. Czy tłumacz w jakiś sposób korzysta z teorii przekładu, czy to mu jest w ogóle do czegoś potrzebne, czy to po prostu tylko jedna z form usystematyzowania świata, stworzenia jakiegoś uporządkowanego systemu, swego rodzaju zabawa, gra, która tłumaczowi-praktykowi do niczego tak naprawdę nie jest potrzebna?

M.Ł. Jeżeli przez teorię przekładu rozumieć zespół twierdzeń, z których by wynikały niezawodne i wyczerpujące instrukcje, jak należy to czy tamto przetłumaczyć, to takich teorii chyba nie ma.

Ł.M. i A.Ż. Przez teorię przekładu rozumiemy taką formę działalności naukowej, która stara się uchwycić pojęciowo warunki możliwości przekładu, wskazuje, co odgrywa przy tym istotną rolę, z czego z kolei

wynikają pewne konkretne wskazówki dla krytyka przekładu, który może sprawdzić daną teorię na żywym, przetłumaczonym słowie.

M.L. Tłumaczowi służy i pomaga wszystko, co zwiększa jego wrażliwość, zdolność do odczytywania możliwych sensów oryginału. Jakiś udział ma w tym na pewno też teoria albo teorie przekładu. Ale także teoria i historia literatury, krytyka literacka, i własne rozmaite lektury, i rozmowy o literaturze. Nie jestem pewna, czy w zawodach o puchar najlepszego przyjaciela tłumacza teoria przekładu zajmuje akurat pierwsze miejsce. W zakłopotaniu wprawiają mnie definicje w rodzaju „przekład to znalezienie w jednym języku narodowym ekwiwalentu wypowiedzi sformułowanej w innym języku narodowym”. Co wobec tego uważam za ważne? Wyrobienie w sobie krytycyzmu, czy też uważnego oka skierowanego na własny przekład, pod wieloma kątami. Zdania przekazują zawsze pewną informację, ale przekazują ją na rozmaite, nieraz najdziwniejsze sposoby. Słowa są tylko jednym z nich. Stąd jest ważne, żeby przekład nie kojarzył się z układaniem słownika: dajmy na to, *Tisch* to „stół”, a *Brot* to „chleb” i tak dalej. Znaczenie nie kształtuje się tylko na poziomie poszczególnych słówek, tylko na poziomie zdań, następnie akapitów czy wreszcie wyższych jednostek tekstowych. Wszystkie one muszą być równocześnie brane pod uwagę. Teoria przekładu nadaje się, jeśli już, raczej do czego innego: dobrze jest wiedzieć, że to, co robię, zostało już kiedyś przez kogoś nazwane, sklasyfikowane, określone. Krótko mówiąc, dobrze jest zdawać sobie sprawę z tego, co robimy, przekładając tekst z języka obcego na rodzimy. Myślę jednak, że dla tłumacza dużo ważniejszą rolę od teorii przekładu odgrywa krytyka przekładu. Tej niestety bardzo często brak. Mamy w Polsce jedynie dwa czasopisma, w których istnieje miejsce na krytykę przekładu, „Literaturę na Świecie” i „Przekładaniec”. To za mało. Czytelnik powinien wiedzieć, że książka, o której mowa, została nie tylko przez kogoś napisana, lecz i przez kogoś przetłumaczona, przetłumaczona dobrze albo nie za bardzo.

Ł.M. i A.Ż. Zapytajmy więc inaczej: kogo czyta czytelnik, sięgając na przykład po opowiadania ze zbioru *Dziwne miasto* Roberta Walsera? Roberta Walsera poprzez „językowe okulary” Małgorzaty Łukasiewicz? Małgorzatę Łukasiewicz czytającą Roberta Walsera? Nierozdzielny konglomerat autora i tłumacza? Coś innego jeszcze?

M.L. Trzymajmy się elementarnych danych. Na okładce napisano: Robert Walser. A pod spodem nazwisko tego, kto tłumaczył. Ale spróbujmy może podejść od innej strony. Są takie dwa komplementy, które tłumacz czasem słyszy i nie bardzo wie, co z tym począć. Jeden brzmi mniej więcej

tak: „Zacząłem czytać, strasznie mi się podobało, od razu poznałem, że to ty tłumaczyłaś”. Bardzo to miło słyszeć, rozpoznajemy życzliwość intencji, ale to przecież znaczy, że się wszystko tłumaczy tak samo. Bardzo bym chciała, żeby polski czytelnik czytał raz Walsera, raz Habermasa, raz jeszcze kogoś innego, byle nie Małgorzatę Łukasiewicz. Drugi niepokojący komplement brzmi: „Twój przekład jest lepszy od oryginału”. Co to w ogóle znaczy? Przecież przekład nie ściga się z oryginałem, przecież zawsze jest od oryginału zależny, jest działaniem wtórnym, tak jak, powiedzmy, interpretacja. Nigdy nie może przekroczyć progu, jaki wyznacza oryginalne autorstwo, pierwotność zamysłu twórczego. Jeżeli natomiast przekształcimy ten komplement w: „Twój przekład czyta się lepiej niż oryginał”, to dalej jest to dla tłumacza cokolwiek niepokojące, ale przynajmniej ma sens. Takie rzeczy mogą się zdarzyć przy tłumaczeniu literatury naukowej czy też literatury, którą czytamy w postawie naukowej, poznawczej, niejako użytkowo: sprowadzamy ją do sumy myśli, którą chcemy sobie możliwie szybko i sprawnie przyswoić. A tymczasem zdarzają się autorzy, którzy myślą wspaniale, ale piszą strasznie, nie robią nic, żeby czytelnikowi ułatwić życie. Takim autorem jest na przykład – z całym szacunkiem – wspomniany już Habermas. Habermas podąża za swoim wątkiem, jakby całkiem zapominając, że czytelnik chciałby mu dotrzymać kroku. Wówczas tłumacz – który siłą rzeczy lokuje się pomiędzy autorem a czytelnikiem – staje wobec pokusy, żeby na własną rękę coś z tym zrobić. Wtedy „tłumaczy” poniekąd w obu sensach tego słowa: „wyjaśniać” i „przekładać”. Tym bardziej, że kiedy czyta to jakieś bardzo trudne zdanie czy ustęp, najpierw sam musi je zrozumieć, wyciągnąć wszystkie zawarte w nim sensy i ustawić je w jakimś porządku. A jeśli już sam wykona to karkołomne zadanie, myśli sobie, że byłoby dobrze, gdyby i czytelnik coś z tego miał. I wtedy dokonuje pewnych zabiegów, aby tekst stał się bardziej przejrzysty. Dodaje jakieś „otóż”, jakieś „skoro tak, to”, uwydatnia związki wynikania, porządkuje wywód. Innymi słowy, wykazuje wobec czytelnika nieco więcej uprzejmości, niż wykazał jej sam autor. Nie twierdę, że wolno tak robić, ani tym bardziej, że należy tak robić. Wyznaję jedynie, że to mocna pokusa i że czasem jej ulegam.

Ł.M. i A.Ż. Czy podchodzi Pani do tłumaczenia uzbrojona mimo wszystko w jakieś założenia, czy raczej daje się Pani „uwieść” autorowi i jego dziełu? Co znaczyłoby jednak: „dać się uwieść dziełu”? Czy tłumacz to „śluga cudzego słowa”, jak to określił swego czasu Jacek St. Buras?

M.Ł. To jedna z metafor, które mają nas przybliżyć do istoty tłumaczenia, bardzo ładna. Chodzi o wierność wobec autora i oryginału, nawet kosztem własnych upodobań czy nawyków. O ile pamiętam, jest tam również mowa o stylistycznych wygibasach, akrobatycznych sztukach, a nawet o sadomasochizmie, na jaki czasem trzeba się zdobyć, żeby tylko dogodzić autorowi.

Ł.M. i A.Ż. A zatem być tym, kogo Pani w jednym ze swoich tekstów określiła mianem „człowieka bez właściwości”?

M.Ł. To z tej samej recenzji esejów Musila, i formuła oczywiście Musilowska. Na początku tej recenzji umieściłam motto z wiersza Rainera Kunzego: „W sobie też/ obcinam wszystkie gałęzie które/ pną się wysoko/ (...) Trzeba, żeby przez koronę jabłoni/ mógł przejść mężczyzna z koszem – mówią /starzy ogrodnicy” (tłum. Jakub Ekier). To bardzo piękny obraz. Podobną myśl odkryłam potem u Canettiego w *Prowincji ludzkiej*. Canetti pisze, że ciągle trzeba „robić w sobie miejsce”. To miałam na myśli, pisząc o tłumaczu bez właściwości – tłumacz musi znaleźć czy zrobić w sobie miejsce dla autora, razem z całym jego literackim światopoglądem, z jego poetyką, chwydami i gustami.

Ł.M. i A.Ż. Czy jednak w związku z tym w pracy tłumaczki nie przeszkadza Pani poczucie doraźności, świadomość, że kiedyś – być może za 100 lat – Pani przekłady będą musiały zostać „przewycięzone”, „Pani” Walser będzie musiał zostać „przewycięzony”? Dzieje się tak z różnych powodów, z powodów zmian dokonujących się w języku, w mentalności, wrażliwości czytelniczej itd.

M.Ł. Tak, wydaje mi się, że tak jest, że przekłady się starzeją, a oryginały nie, albo że przekłady starzeją się szybciej. To także jedna z tych absolutnych różnic między przekładem a oryginałem. Ale tu w grę wchodzi bardzo różne sprawy. Jeżeli co jakiś czas powstaje nowy przekład wielkiego dzieła klasycznego, to jest to dowód nie na uwiad dawnego przekładu, ale na wieczną żywość oryginału. Przekład Biblii zrobiony przez księdza Wujka nadal czyta się wspaniale. Nowe przekłady nie dyskwalifikują Wujka, tylko ustawiają się obok niego, bo zaspokajają inne nasze potrzeby. Natomiast przekład czasem rzeczywiście wędnie, jeżeli jest wyjątkowo mocno osadzony w stylu swojej epoki. Wtedy odczuwamy jego „starość” czy „anachroniczność” jako zaporę przeszkadzającą w obcowaniu z dziełem. Wtedy już nie czytamy, tylko dziwujemy się egzotycznemu tworowi językowemu. Według mnie to dotyczy np. dawnych polskich przekładów Nietzschego. Te przekłady są bardzo mocno nacechowane manierą mło-

dopolszczyzny, wprost nurzają się w tym młodopolskim egzaltowanym sosie. Wydaje mi się, że to zsyła autora poniekąd do kategorii filozoficznego folkloru. Ale są tacy, którzy przepadają za tymi dawnymi przekładami i chcą czytać Nietzschego właśnie w tej postaci. Zresztą to ciekawa sprawa, domagająca się pewnie dogłębnego studium. Maniera młodopolska utrzymała się znacznie dłużej w przekładach niż w oryginalnej twórczości. Przetrwała w przekładach do lat trzydziestych, do czasów kiedy polska literatura dawno już poszukała sobie całkiem innych form wyrazu. Tak jak gdyby przekład i twórczość rodzima poruszały się całkiem odrębnymi szlakami. I tak jak gdyby obcość – którą trzeba pokonać, z którą jakoś trzeba się uporać w przekładzie – do tego stopnia angażowała emocje tłumacza, że ostatecznie musiało się to wyrazić w tych wszystkich wykrzyknikach, inwersjach i podobnych efektach.

Ł.M. i A.Ż. Skoro już jesteśmy przy kwestii tłumaczeń literatury filozoficznej, co odróżnia Pani zdaniem tłumaczenie tekstu filozoficznego od tekstu literackiego? Czy stosowanie tego rozróżnienia ma pragmatyczne uzasadnienie? Co z tekstami opierającymi się takiej jednoznacznej klasyfikacji (np. komentarze Gadamera do wierszy Celana)? Czy granica między tekstem literackim a tekstem filozoficznym ulega stopniowemu zatarciu?

M.Ł. Nie sądzę, żeby to miało dla mnie jakieś znaczenie jako dla tłumaczki. Tłumacząc, siedzę przy komputerze. Obok słowniki, papierosy, no i oryginał, książka, którą tłumaczę. Książki się zmieniają, ale te inne elementy pozostają zasadniczo bez zmian.

Ł.M. i A.Ż. Ale jeśli tłumaczy Pani choćby Roberta Walsera, to nie musi Pani się zastanawiać, jak dane słowo było tłumaczone wcześniej, a tłumacząc takiego Habermasa czy Gadamera, należałoby sprawdzić najpierw, jak to funkcjonuje, czy już istnieje.

M.Ł. Tak, oczywiście, muszę się trzymać konsekwentnie jakiejś przyjętej terminologii. I, jak o tym była mowa wcześniej, czasem biorę wtedy pod uwagę ten poznawczy, użytkowy sposób lektury.

Ł.M. i A.Ż. Czyli jednak to rozróżnienie między tekstem naukowym i literackim ma jakiś użytkowy sens?

M.Ł. Tak, od tej strony patrząc – tak. Ale dotyczy to tych książek, które – jak to sobie nazwaliśmy – nie zważają na czytelnika, tych „strasznych”, tych „nieuprzejmych”, a nie naukowych czy filozoficznych jako takich.

Chociaż tak w ogóle to nie jestem za tym, żeby zacierać różnice między filozofią czy nauką a literaturą. Ani w ogóle za tym, by zacierać różnice, jakiegokolwiek. Broń Boże. Gdyby wszystko było tym samym, gdyby nic się od niczego nie różniło, na świecie byłoby strasznie nudno. Mówiłam, że tłumacz czasem wygładza ścieżki czytelnikowi. Ale z drugiej strony w żadnym razie nie powinien mu z góry tych ścieżek wytyczać ani zamykać mu różnych możliwości lektury.

Ł.M. i A.Ż. Oprócz tego, że jakieś dzieło zawiera jakiś ładunek myślowy, można też czytać je ze względu na walory estetyczne. Możemy coś czytać ze względu na przyjemność czytania. Chyba nie można czytać np. Kanta ze względu na przyjemność czytania...

M.Ł. Można, zaręczam panom. To kwestia gustu...

Ł.M. i A.Ż. A więc to znaczy, że właściwie wszystko możemy czytać jako literaturę, wszystko możemy czytać jako filozofię...

M.Ł. ... to znaczy, że wszystko możemy czytać z przyjemnością.

Poznań – Looren, 2002–2012